

Teraz zaśniesz. by gubCrowten

I Łącznik

Pewnego popołudnia z nieba stoczyła się fala niemal gęstego od gorąca powietrza. Na moment ogarnęła sobą wszystko a następnie wtopiła się w glebę. Całe, nietrwające dłużej niż sekundę zjednoczenie, dogłębnie przeżyła każda żywa istota. Kto był obdarzony darem świadomości zdołał odebrać uczucie niczym niezakłóconej nicości. Epizod owy rozpoczął się niespodziewanie i tak też się skończył a jedynym, co po nim pozostało, było nie wymazywalne wspomnienie zimnej pustki w ludzkich umysłach. Dwadzieścia pięć lat później pewien człowiek starał się wymazać je ze swej głowy po raz kolejny. Nie miało mu się to udać i tym razem, więc po krótkiej bitwie postanowił po prostu upchnąć je z powrotem najgłębiej jak potrafił. Człowiek ten nazywał się Albert Grandson i już drugi dzień jechał Głównym Traktem na południe.

Szary Wilk, bo tak zwracano się do niego w obozie, spojrzął na Słońce, kolorowa plama zatańczyła mu w głowie i prawie się przewrócił. To ostatecznie przesądziło sprawę. Gdy zatrzymał motocykl poczuł się jakby dopiero teraz wiedział co robi. No i przecież lepszego łącznika nie było. Przynajmniej w tej części świata, którą znał, czyli wystarczająco dużej. Jeśli by się spokojnie nad tym zastanowić, to od początku odpoczynek był nieunikniony, teraz wydało mu się to wyjątkowo oczywiste. Prawdą jest, że przegrał już dzisiejszego dnia o świcie, gdy, ludzkim zwyczajem, przyszło mu na myśl niewinnie „a co, gdyby...”. Od tego momentu powoli opanowywało go obezwładniające pragnienie snu, z każdą chwilą przeradzając się w obsesję. I gdy klujące promienie wdarły mu się do mózgu, zdał sobie sprawę, że bez odpoczynku jego zadanie stanie się niewykonalną torturą.

Nie domyślał się jak wielkim ryzykiem jest choćby godzinny postój. Przez ponad dwadzieścia lat zdążył się przekonać, na co stać przemierzających Pustkowiec. Rzeczywiście, było niewielu mogących mu w tym choćby dorównać. Tak więc tego poranka przestał brać pod uwagę nakazy przełożonych. Może i Shikunéh orientował się co nieco w swoich politycznych duperelach, ale z pewnością nie miał bladego pojęcia jak sprawnie i możliwie najszybciej przemieszczać się między obozami. Trzy godziny teraz i tyleż wieczorem. Nie najmiłsza z opcji, ale Szary Wilk Albert dobrze pamiętał przedwczorajszą wizytę u swojego przyjaciela. To, że zadanie zostanie wykonane było swojego rodzaju przyrzeczeniem. Domu nie bronili ani strażnicy, ani tym bardziej Rada, ale Shikunéh e’Neh, głową. To właśnie takim ludziom się ufa. Jego zachowanie było w pełni usprawiedliwione, nie było czym sobie zawracać teraz głowy. Szarego Wilka już w ogóle nie interesowało co ze sobą wiezie. Oswoił się z tą myślą szybciej niż przypuszczał i, o dziwo, poczuł się o wiele spokojniej.

Był zresztą zbyt wyczerpany, aby roztrząsać kłopoty ludzi na innych stanowiskach. Znał swoje możliwości tak dobrze jak możliwości opozycji i prawie tak dobrze jak możliwości samych Pustkowiec. Przynajmniej uważał, że znał. Lub jeszcze dokładniej – nikt nigdy nie dał mu powodu aby mógł przypuszczać inaczej. Miał zamiar przespać w cieniu jakiejś ruiny godziny najgorszego skwaru i ruszyć dalej. Pośpiesznie poprowadził motocykl na wzniesienie na zachód od Traktu. Znalazłszy zadaszenie, nastawił alarm na pierwszą trzydziestą, napił się wody i pół minuty później już spał.

Tępy warkot poderwał go z ziemi. Przez kilka sekund nie był w stanie odróżnić jawy od snu. Ale im bardziej się skupiał tym bardziej dźwięk zyskiwał na znaczeniu. Albert spojrzął na zegarek. Odpoczywał ledwie ponad godzinę i uświadomił sobie, że jest bardziej

zmęczony niż zanim się położył. Nic niezwykłego, zaraz minie, jak zwykle. Słońce było teraz dokładnie nad jego głową. Mało pocieszające.

Gdy spotykasz kogoś przemierzającego Pustkowiec najczęściej zamiast dłoni widzisz skierowaną w swoją stronę broń. Oprócz członków Gangu, wyrzutków i, rzecz jasna, łączników mało kto się tu zapuszczał. Mało kto znał zresztą jakiegokolwiek szlaki o położeniu dalekich obozów nie wspominając. Nawet jeśli ktoś za nim podążał, nie było mowy, że dotarłby tu tak szybko. Najrozsądniej było więc zostać na miejscu i przyglądać się rozwojowi wydarzeń. Na wszelki wypadek Szary Wilk przyciągnął maszynę do siebie. Gdyby niepożądani goście również postanowili zatrzymać się w tym skupisku gruzu na dłużej, musiałyby szybko i niepostrzeżenie ustąpić im miejsca, a taka możliwość nijak go nie urządzała. Wysunął głowę nieco ponad krawędź otworu, który kiedyś z pewnością był oknem. Wsluchując się w coraz głośniejsze warczenie silników zastygł w bezruchu i czekał. Trudno mu było przez te kilka chwil oprzeć silnemu uczuciu senności, jednak gdy zza ruin wyłonił się obłok kurzu senność minęła. Teraz dźwięk był wystarczająco wyraźny, aby rozpoznać trzy, góra cztery łąziki. W sumie nie więcej niż osiem osób. Najprawdopodobniej Gang przeczesuje pustynię w poszukiwaniu wyrzutków. Zza chmury pyłu wyłoniły się tylko dwa pojazdy. Szary Wilk uznał, że to zmęczenie bawi się jego zmysłami, nie rozumiał niestety, że zmęczenie nie pozwoliło mu w tym momencie jedynie na docenienie swego własnego doświadczenia. Kiedy łąziki zaczęły zwalniać Szary Wilk pojął, że ten dzień nie należy do niego. Powodowany resztkami nadziei spoglądał w dół na dwuosobowe samochodziki, które zdążyły się już zatrzymać.

– To niemożliwe – wyszeptał, kiedy z pojazdów wyłoniło się czworo ludzi. Rozpoznał ich od razu. Któżby zresztą tego nie potrafił? Niby zwyczajni, brudni tak jak wszyscy inni. Ale ich sposób poruszania się, mówienia, to wszystko bezwolne, jakby powodowane samym wiatrem. A nade wszystko ich oczy, ziejące nicością, zdawało się, że równie dobrze mogłoby ich tam nie być. Już drugi rok minął odkąd owi niezwykli wojownicy pojawili się na pustyni. Nie byli to szaleni wyrzutkowie, za których wzięto ich z początku. Bardziej trafnym określeniem byłoby „opętani”. I jak się szybko okazało, nie wyrzutkowie, ale mieszkańcy obozów, przyjaciele i krewni, których ciała stały się jedynie pozbawionymi dusz pojemnikami. Ciarki przechodziły na samą myśl. Zabrali się do przeczesywania okolicy. Jak zawsze, każdy miał ze sobą jedynie strzelbę i trochę innych drobiazków pozwalających utrzymać ciało na chodzie przez kilka dni. Z początku ludzi zaskakiwało, że nic nadzwyczajnego nie wchodziło w skład podstawowego wyposażenia „żołnierza Szarej Armii”, powszechnie nazywanego „Pustym”. W przeciwieństwie do Gangu, Armia po wizycie w jakiejś osadzie nie pozostawiała martwych ciał. Zabierali wszystkich i, co do jednego, wcielali w swoje szeregi. Choć co do tego, że wcieleni byli martwi, mało kto miał wątpliwości. Wypruci z emocji i własnej woli, przypominali już tylko chodzące lalki.

Dla Alberta było jasne, że celem tych na dole jest on sam. Nie pojmował jedynie sposobu, w jaki wytropili go tak szybko. W innych okolicznościach zdrada byłaby jedynym sensownym rozwiązaniem. Jednak zdrada rodzaju ludzkiego, zdrada samego siebie nie wchodzi w grę. Kilka długich sekund i Szary Wilk zaprzestał myślenia. Najbezszeleśniej jak tylko był w stanie poprowadził motocykl między ruinami. Sterta gruzu na prastarych ulicach wcale mu tego nie ułatwiała. Tylko uczęszczane trakty były jako tako oczyszczone, na pozostałym terenie wymarłych miast nie znalazł się większy odcinek niezasypanej prehistorycznymi ceglami powierzchni. Gdyby jednak to stanowiło przeszkodę dla Szarego Wilka nie mógłby się uważać nawet za marnego w swoim fachu. Nikt z ludzi nie mógł go usłyszeć. Nikt z ludzi, ale kto wie, co mogą usłyszeć tacy Puści. Nikt tak naprawdę ich nie znał. Chociaż usiłowano przesłuchiwać już wielu, każdy wydawał się być niewrażliwym zarówno na pytania jak i na metody ich zadawania. Ludzka wyobraźnia potrafi na wiele

sposobów zinterpretować brak informacji. Końcem końców Puści siali przerażenie, a co mniej rozgarnięci straszili nimi dzieci.

Posuwał się naprzód mozolnie, ale dostatecznie szybko, żeby odzyskać pewność siebie. Albert uważał, że brakowało im sprytu. Według niego zachowywali się raczej w sposób matematyczny. Ich działania były przewidywalne. Niestychanie sprawne, ale przewidywalne, a ta jedna doprowadzona do perfekcji cecha wystarczała, aby dać im przewagę nad wiecznie nierozgarniętą ludzkością.

Szary Wilk wiedział, że nie może uruchomić silnika. Cisza Pustkowi przyjęłaby ten dźwięk z rozkoszą i rozniosła po ogromnym obszarze. Instynkt podpowiadał mu jak daleko jeszcze będzie musiał zawędrować póki nie zostanie jedyną publicznością w obrębie takiego obszaru. Posuwał się równoległe do Głównego Traktu sto pięćdziesiąt metrów na zachód od niego. Skręcał coraz bardziej w lewo, gdzie droga była przynajmniej odrobinę mniej usłana kawałkami zniszczonych budynków. Nie słyszał warkotu łażików, co znaczyło, że albo stoją w miejscu, albo oddalił się już wystarczająco daleko. Instynkt twierdził, że stoją w miejscu. Szedł dalej. Coś tu jednak nie grało: na tym terenie nie było nic ciekawszego od sterty gruzu, no i oczywiście jego osoby, a to dość jasno informowało o zamiarach wysłanników Szarej Armii. Niestychany jest już sam fakt, że został odkryty i doścignięty. A więc przesyłka, musiała mieć rzeczywiście duże znaczenie. Tak, polowali na niego, a raczej na to, co ze sobą miał. Zauważył, że zdążył wyjść na Główny Trakt. I wciąż nie słyszał silników. Jeżeli już udało im się go wytropić to dlaczego wciąż tam bezsensownie czekali? W tym momencie usłyszał stłumiony wystrzał racy dwieście metrów na wprost od niego. Zahipnotyzowanym wzrokiem prześledził jej świszczący lot ku górze aż wybuchła sprawiając oślepiające wrażenie małego Słońca. To go w końcu obudziło. Przysłonił ręką oczy i dostrzegł zamykające się drzwiczki już pędzących w jego kierunku łażików. Daleko z tyłu dobiegał pisk opon. Wówczas Albert przypomniał sobie dźwięk jakby czterech pojazdów, jaki usłyszał zaraz po przebudzeniu. Dwa musiały otoczyć miasto szerokim łukiem od wschodu i po prostu czekać u wylotu Traktu. Wskoczył na swój motor i zaklął. Nieuświadomione w pełni, skrajne wyczerpanie organizmu połączone z niespotykaną u Pustych przebiegłością mogły stanowić jakieś usprawiedliwienie, ale Szary Wilk miał teraz całkiem inne rzeczy na głowie. Dawno temu oswoił się z wszechobecną na Pustkowiach śmiercią, po prostu nie chciał wpaść im w ręce i stać się jednym z nich.

Uruchomił maszynę, lecz się nie ruszył. Wiedział, że na motocyklu jest w stanie poruszać się jedynie Traktem, a na pieszo nie ucieknie przed czterema wyjątkowo cwanyimi Pustymi. Nie puszczając ręcznego dodał gazu. Z tyłu motocyklu przeciągły szelest uformował bladeżółty obłok z pyłu i piasku. Albert ustawił maszynę na środku drogi przodem do nadjeżdżających łażików. Gdy licznik wskazał pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, przestał się obracać. Wyglądało to jak początek jakiegoś dwudziestowiecznego numeru cyrkowego, o którym Albert nigdy nie słyszał. Pojazdy zbliżyły się na pięćdziesiąt metrów i łącznik wystartował. Zdołał utrzymać się na siedzeniu i przyśpieszając, kierował się w szczelinę między nimi. Obydwaj kierowcy łażików równocześnie pojęli jego zamiary. Idealnie wyliczając dystans, czas i szybkość gładko przechylił kierownice drastycznie zmniejszając odległość między swoimi pojazdami. Gdyby Albert nie przewidział całego rozwoju zdarzeń tych kilku sekund nie zdołałby w porę wyminąć łażików bokiem. Jednak wiedział, co się stanie zanim jeszcze włączył silnik swojego motocyklu. Oczyszczył umysł i znów pozwolił w pełni działać swojemu instynktowi. I kiedy Puści skleili kadłuby swoich pojazdów łącznik nie stracił tej jedynej chwili na podejmowanie decyzji.

Jasne było, że teraz łażiki zaczną hamować, więc w trakcie ich wymijania Szary Wilk wyrzucił w tył granat rozrywający domowej roboty. Cała ta strategia nie była niczym niezwykłym. Na drogach Pustkowi nie jeden raz Albert musiał stawiać czoła tego typu

sytuacjom, choć zdecydowanie częściej mierzył się ze zwykłym, ludzkim Gangiem, pełnym niedoświadczonych wyrzutków. Puści byli doskonali przynajmniej w swoich schematach.

Po trzech sekundach usłyszał dwie, niemal zlane w jedną, eksplozje a chwilę później łoskot rozbijających się o ziemię kawałków bezsensownego metalu. Sam Albert był już poza obszarem rażenia, więc zatrzymał się obracając motocykl o sto osiemdziesiąt stopni tak, że przed oczami miał teraz południowy wjazd do ruin miasta. Czarna chmura unosiła się nad miejscem wybuchu zasłaniając Trakt. Nie mógł już uciekać w głąb Pustkowi. Nie przed uzbrojonymi wojownikami Szarej Armii. Nie teraz, gdy pokazał, na co go stać. Nie, gdy coś mu mówiło, że ich głównym priorytetem jest przejęcie przesyłki a on sam stanowi tylko jakby dodatek.

Zszedł z motoru i dobył strzelby. Wycelował w dym. Przejeżdżając tędy byli zmuszeni zwolnić. To dawało mu czas na oddanie dwóch strzałów do kierowców. Jeżeli pasażerom udało się wyjść z tego cało, Albert planował przeładować broń i zakończyć to. Sądząc po natężeniu warkotu silników jego przeciwnicy byli już całkiem blisko. Myśliwy oparł ciężar ciała na lewej nodze skupiając się na tym dźwięku. W głębokim cieniu na godzinie drugiej coś się nieznacznie poruszyło. Szary Wilk błyskawicznie obrócił lufę w prawo i wypalił. Niemal. Jeszcze przed sekundą był pewien, że to kolejny, podejrzanie cwańszy niż zwykle, przyczajony szary żołnierz. Jednak czegokolwiek by nie powiedzieć o oczach, w których Albert utkwiał swój wzrok, to na pewno puste nie były. To właśnie one zatrzymały jego dłoń w ostatniej chwili. Oczy, w których więcej było zdziwienia niż niepokoju. Ale Szarego Wilka pochłonęło to, co kryło się głębiej pod ich szklaną powłoką. Dostrzegał tam coś, czego nie znał, czego nigdy wcześniej nie zobaczył u innych mieszkańców zdruzgotanej Ziemi. Była tam cisza i był w nich spokój, a tak się przypadkiem składało, że właśnie tego ciała Alberta potrzebowało w obecnej chwili najbardziej. Łowca wpatrywał się w młodego mężczyznę przez długą, o wiele za długą chwilę. Z odrętwienia wyrwała go dzika szarża dwóch łazików rozrywających dymną zasłonę na Trakcie.

Szary Wilk zdołał skupić się na celu, jednak wiedział, że czasu starczy mu na zdjęcie tylko jednego z nich. Wypalił i kula sięgnęła czoła kierowcy bliższego mu pojazdu, który zaraz ostro skręcił i zaczął koziołkować wprost na myśliwego, ten jednak zdołał uskoczyć. Zauważył, że drugi z kierowców zwolnił pozwalając koledze przeturlać się przed swoją maszyną i teraz kierował się na Alberta, który tym razem już nie mógł zdążyć wykonać żadnego uniku. Odbił się od maski gruchotając kości. Gdy uderzył w popękany asfalt z ust wytrysnęła mu krew. Rzeczywistość odpłynęła, a kiedy zjawiała się ponownie, ujrzał przysłaniające niebo dwie sylwetki Pustych. Szum w czaszce i ból nie zdołały przyćmić mu całkowicie oceny sytuacji. Wciąż pamiętał, jakie było jego zadanie i pamiętał o nadziei, jaką pokładał w nim Shikunéh. Jego przymrużonym oczom ukazał się wylot lufy. Wtedy łącznik zrozumiał, że spartaczył prawdopodobnie najważniejszą misję swojego życia. Dawał tym samym wielką przewagę Armii i jej panom nad ludźmi. Po dwudziestu latach prawych działań miał zginać w poczuciu beznadziei i nie był w stanie nic na to poradzić. Broń wypaliła. Zanim Albert i drugi z Pustych zdołali się zorientować, broń wypaliła znowu. Teraz nad Szarym Wilkiem pochylała się już tylko jedna postać. Chłopak odrzucił strzelbę, przykucnął i wyciągnął nóż.

- Leż spokojnie - powiedział. - Rozetnę ci ubranie i opatrzę rany.

Kiedy się do tego zabierał Albert pochwycił jego dłoń i włożył w nią coś papierowego.

- Pokaż to Hossowi z Twierdzy – wycedził przez krew.

Mężczyzna położył rzecz na ziemi i powtórzył.

- Leż spokojnie a sam mu to pokażesz.

Ale łącznik podniósł przesyłkę, ponownie wciskając ją nieznanemu do ręki.

- To ważne. Zanieś to do Twierdzy – z każdym słowem mówienie stawało się coraz trudniejsze. – Zrób to, jeżeli nie ocaliłeś mnie niepotrzebnie.

Szary Wilk zamknął pięść mężczyzny na małej, bladobrazowej kopercie i przypatrzył się jego obliczu.

- Twoje oczy nie pozwalają ci zresztą ukryć tej niemocy, przyjacielu.

Twarz Alberta wydawała się być nad wyraz spokojna i pewnie dlatego, że życia w niej już nie było. Młodzieniec klęczał przy nim przez chwilę aż w końcu odgiął palce wciąż zaciskające jego dłoń i ręka łącznika bezwładnie osunęła się na ziemię.

Następną godzinę spędził układając prowizoryczny stos z części łazików, które dało się spalić. Nie miał możliwości, aby urządzić tu choćby marny pochówek. Nie chciał jednak barbarzyńskim sposobem zostawiać martwego ciała, ot tak, na środku Traktu. Mimo, że zwyczaj ten był powszechnie praktykowany przez pustynny Gang, on pragnął odizolować się od podobnych zwyczajów najszczelniej jak tylko był w stanie. Upewnił się, że łącznik nie miał przy sobie nic więcej, co warto ze sobą zabrać i flarą podpalił strumień benzyny. Na koniec zabrał strzelbę, wsiadł na motocykl i ruszył na południe.

II Wygnaniec

Ten dzień nie zapowiadał się pogodnie. A przynajmniej w nie dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż deszcz o tej porze roku byłby zjawiskiem bardziej niezwykłym niż pędzące stado żywych bizonów. Za to w głowie młodego człowieka jadącego starym motocyklem wzdłuż Głównego Traktu panowała prawdziwa burza. Od kiedy skończył dziewięć lat starał się unikać innych ludzi i przede wszystkim z tego powodu owe zaskakujące wydarzenia ostatnich dwóch godzin sprawiły, że czuł się jakby jego spokojny, budowany latami szalas niebezpiecznie silnie się zachwiał. Pustkowiec był domem śmierci, a kto wkraczał na jej teren musiał się liczyć z faktem, że może nie zostać zeń wypuszczonym. A jednak mimo to owy młody człowiek znalazł tu coś w rodzaju strychu, skąd nauczył się obserwować, samemu pozostając niezauważonym. I z jakiegoś powodu Śmierć pozostawiała strych samemu sobie. W każdym razie, aż do dzisiaj.

To nie była jego sprawa, jak każda inna zresztą. Kolejny nieodpowiedni czas, kolejne złe dobrane miejsce. Po kilkunastu latach, z pewnością niejedną zdążyłby przywyknąć do wszystkiego, co Pustkowiec mogą zaoferować swoim gościom. Ale on nie potrafił. Nie przestał bać się śmierci, swojej czy cudzej, wszystko jedno. Przerażała go myśl o cierpieniu a jeszcze bardziej o jego zadawaniu. Natomiast nikt, nawet ktoś z tak szeroko rozwiniętym zmysłem percepcji jak Szary Wilk, nie byłby w stanie tego zauważyć, gdyż młody mężczyzna w ciągu kilkunastu lat posiadał umiejętność ukrywania się w pełnym tego słowa znaczeniu. I kiedy zamykał oczy, wówczas ta nazbyt rozwinięta wrażliwość, to coś, co zbliżało go do pełni człowieczeństwa bardziej niż innych, zniknęło dla tych innych całkowicie. On sam stosunkowo niedawno odkrył, że chyba jakoś inaczej postrzega otaczającą go rzeczywistość. Po prostu wcześniej nie miał okazji porównać. Ostatnio jednak, gdy obserwował poczynania napotkanych osób, nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy wydają się zachowywać jakby nie istniało nic oprócz walki o przetrwanie. Wszędzie wokół gromadzono zapasy, stawiano mury obronne, atakowano, broniono się. Jakby Słońce było tylko owym morderczym żarem, a nie sprawiało, że niebo wieczorami płonie. Jakby piasek nie przesypywał się powoli między palcami, a wiatr nigdy nie wędrował pod ubranie. A takie właśnie sprawiali wrażenie. I Gang, i mieszkańcy lasów, no i przede wszystkim ci, którzy pojawili się tu z dwa lata temu, niewiedomo skąd. Ale tym, co dziwiło najbardziej, było paradoksalnie jego własne nastawienie. Był świadom, że postępowaniem ich wszystkich rządzi rozsądek, a mimo to potępiał je. Zaczął się więc zastanawiać czy to aby on nie postradał zmysłów, czy samotność nie zmieniła go bardziej niż mógł przypuszczać. Od tego też czasu drażyła go myśl, że mógł popełnić błąd porzucając towarzystwo innych ludzi.

Może właśnie to narastające poczucie niepewności kazało mu spełnić prośbę umierającego człowieka. Może była to świadomość, że po jednej stronie był on sam i owy umierający człowiek, po drugiej zaś chodzące lalki, z którymi nijak nie potrafił się utożsamić, to byłoby zresztą bardziej racjonalnym wyjaśnieniem. W każdym razie jechał do ludzi. Może po prostu nie zdążył odmówić.

Oczywiście, że się zastanawiał nad zawartością koperty, która spokojnie spoczywała w jego kieszeni. Prawdopodobnie to coś ważnego, wiedział bowiem kim jest Hoss. „Władca Stumilowego Lasu”, jak nazywali go mieszkańcy tej części ocalałego świata. Od kilkunastu lat sprawował niepodzielną władzę w jednym ze znanych tutaj obszarów, które nie dały się strawić błędom przodków. Sam Las, czyli parę kilometrów kwadratowych najprawdziwszych roślin, był schronieniem dla około stu siedemdziesięciu osób. Obóz zyskał miano Twierdzy, bo blisko jedną czwartą drzew wykorzystano na budowę fortyfikacji, kiedy Pustkowiec zdominował Gang. Wówczas ludzie zaczęli bronić dostępu do wody i żywności, których

przecież i tak nigdy nie mieli w nadmiarze. Hoss był w prostej linii potomkiem założyciela obozu, który, jeżeli wierzyć najstarszym, osiadł tutaj z przyjaciółmi w Czasach Chaosu. Od tamtej pory hołdowano w Lesie prawu dziedzictwa i pierworodni jego rodu byli przygotowywani do pełnienia roli Przedstawiciela już od wczesnych lat dzieciństwa. I czy miał to we krwi, czy go po prostu nauczono, Hoss sprawdzał się w roli opiekuna iście wzorowo. Dowodem tego był choćby fakt, że mimo wszelkich przeciwności tamtejsi ludzie wciąż jeszcze żyli. Stumilowy Las nie istniałby, rzecz jasna, gdyby nie ciągła współpraca z innymi, podobnymi obozami. Wymianę zapasów czy mieszkańców stosowano, aby utrzymywać jako taką równowagę a głównie ona właśnie zapewniała tu przetrwanie. Gang sprawił również, że koniecznym materiałem wymiany stały się informacje. Niezwykle rzadko jednak na Pustkowiach można było spotkać konwój. Po pierwsze, przeprowadzenie jednej takiej operacji wymagało wiele czasu i poświęceń, po drugie zaś, jeżeli już organizowano wymianę to wiedziało o tym bardzo niewiele osób. Co więcej, trasa marszu była opracowywana podczas jego trwania a i tak znał ją jedynie Pierwszy Łącznik Konwoju. Wyprawa zwykle trwała dopóki nie odwiedziono wszystkich okolicznych obozów a balans nie został odnowiony. Sami łącznicy kursowali w te i z powrotem częściej i to na ich potrzeby wykorzystywano prawie cały zapas benzyny. Samotna piesza wędrówka poprzez mordercze pola Pustkowi nie wchodziła w grę. Na nią jedynie skazywano.

Do wrót Stumilowego Lasu zostało około sześciu godzin drogi. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinien dotrzeć tam przed zachodem słońca. Bo dlaczego miałyby być inaczej? Tutaj wszystko działa się zgodnie z planem. Pustkowie były jak przerażający schemat: słońce wstaje i chowa się. Gang zawsze zbyt głośny, aby mógł zaskoczyć. Szare, niech ich szlag, to chodzące schematy. Tu się już nic nie zmienia. Nic nie zaskakuje. „Powiedz to temu posłańcowi.” Przyszło mu na myśl. No tak. To przedpołudnie było dziwne. Ale nie upoluje się szczura dwa razy w ciągu jednego dnia. Nie ma sobie czym głowy zawracać. Rzeczywistość odzyskała swój schematyczny rytm. „Ale przecież jadę na motorze. Do Lasu. Cholera.” Przyszło mu na myśl. No tak.

Ten dzień miał się, oczywiście, nieco różnić od pozostałych. Młody człowiek, który od lat żył samotnie na jałowym łonie Pustkowi, nie był najlepiej przygotowany na zmiany w owym „schemacie”. Dlatego niezmiernie się zdumiał, gdy ze zniekształconego żarem powietrza wyłoniła się malutka sylwetka. Z każdą chwilą robiła się ona coraz wyraźniejsza, tak, że chłopak mógł już rozróżnić jej płęć. Kobieta, niezmiernie zdumiewająca. Wychudzona kobieta w obdartych ciuchach, ze spaloną słońcem skórą, o sklejonych pyłem i brudem włosach. Zatrzymał się przy niej. Rzecz jasna skądś ją wygnano i pewnie z Twierdzy właśnie. Okrągły, wypalony znak ostrzegawczy na jej policzku, nie zdążył się jeszcze zagoić. Za to miała brązowe oczy. I, o dziwo, wszystkie zęby. Na pierwszy rzut oka przynajmniej. Nie pamiętał jej twarzy, więc musiała przybyć tu z jedną z ostatnich wymian. Musiała wykraść wodę albo kogoś zabić, no i teraz przyszło jej zapłacić za to surową cenę, niby bywa. Zostało w niej jeszcze trochę sił, ale nie wystarczyłoby ich jej na długo. Za najdalej trzy dni padłaby z wyczerpania. Gdyby Gang znalazł ją wcześniej, miałyby szybszą śmierć. A mimo to nie wyglądała na zrozpaczoną. Przeciwnie, wydawało się, że spod tej warstwy brudu promieniała. Nie było to normalne. To po prostu nie pasowało do schematu.

Ona odezwała się pierwsza.

- A ty nie boisz się tak podejźdzać? – Jej śmiałość zbijała z tropu i na chwilę go zatkało. Odparł szybko, ale niepewnie, niemal pytając.

- Nie masz broni.

„Skąd ta pewność?” Pomyślał i chwycił przewieszoną przez plecy strzelbę. Przyłożył lufę do jej czoła, nie zamierzał wypalić. Dziewczyna nawet nie drgnęła, wciąż patrzyła mu w oczy.

- Zrzuć to - powiedział szybciej niż pomyślał.

- Już traciłam nadzieję, to na moim policzku to chyba nie będzie ci za bardzo przeszkadzać, nie? - Zapytała całkiem spokojnie i prawie nie zabrzmiało to jak żart.

- Rozbieraj się, nie powtórzę po raz trzeci.

Dziewczyna zdjęła z siebie szmatę, powszechnie nazywaną tu ubraniem, rozłożyła ramiona i obróciła się dookoła. Pył i bród skutecznie to maskowały, ale dziewczyna nie miała jeszcze trzydziestu lat. Pod szmatą było tylko pustynno-szare ciało. Nie było żadnej broni.

- Pasuje? Pewnie. - Odpowiedziała sobie z pełnym zębów uśmiechem i nałożyła swoje odzienie z powrotem.

- Nie jesteś normalna, prawda?

- Nie bardziej niż ty - odpowiedziała trafniej niż mogła przypuszczać, jak uznał młody mężczyzna, normalność od samego rana dzisiaj jakoś poszła w łeb - Zapytaj lepiej czy mnie nie zabrać ze sobą.

Że jej nie zostawi było już jasne, gdy zrozumiał, że ten punkt na tracie to nie bandyta albo coś gorszego. Taka możliwość nie istniała. Po prostu nie.

- Ciekawe tylko, za co cię wygnali - powiedział spokojnie. Znowu. Jeżeli ktoś obserwowałby tę wymianę zdań z pewnością wydałaby się mu ona co najmniej dziwna. Dwóch nieznanym na Pustkowiach, różnych płci co gorsza, on na motocyklu łącznika, ona wygnaniec. A prawdziwe emocje ukryte tak głęboko, żeby nikt ich przypadkiem nie odgadł. „Co jest temu winne? Pustkowiec? Oni? My?” Przebiegło młodemu mężczyźnie przez myśl i zniknęło. Kobieta nie odpowiadała, tylko z lekko uniesionymi, szarymi od kurzu brwiami wpatrywała się w niego wzrokiem, który zdawał się czekać na zgodę.

- Jadę do Lasu. Nigdzie więcej. Jeżeli idziesz stamtąd to nie masz po co wracać. Nie wpuszczą cię, dobrze wiesz.

- No... - Odrzekła i usadowiła się za nim.

- Jak sobie chcesz - sięgnął za plecy po strzelbę i przyczepił ją pod prawą rękę. Nieoczekiwane uczucie, kiedy jej ramiona objęły go w pasie prawie nakazało mu jej zaufać. Mimo to rzekł:

- Będę jechał dość szybko, aby w razie wypadku były małe szanse na wyjście z niego cało. To jakby ci się Las odwiedził na rzecz skrócenia mi karku, czy coś.

- W końcu przecież nienormalna jestem - oparła się policzkiem ponad jego łopatkami, więc młody mężczyzna przez sekundę miał pewne trudności w odpaleniu maszyny. Dyskomfort spowodowany zaburzeniem wewnętrznego spokoju. „No...” pomyślał i ruszył.

- No więc jak mam do ciebie mówić? - Zapytała dość głośno i wprost do ucha.

- Lepiej do mnie nie mówić - odparł przed siebie. I całkiem spokojnie.

- Parada żartów, kto by pomyślał - i z powrotem oparła o niego głowę. - Ja mam na imię Laura - powiedziała tak, żeby myślał, że powiedziała tak, żeby nie usłyszał.

III Przedstawiciel

Panował przytłaczający nastrój, jakiś taki bardzo powolny.

- Dzień dobry - skłamał Shikunéh.

- O co chodzi? - zapytał Albert.

- Masz zadanie. Wybacz.

Szary Wilk lekko unióśł brwi. Jego oczy były czerwone i zapadnięte.

- Jak to mam zadanie? Miałem. Cztery godziny temu z niego wróciłem. Jedna, cała doba odpoczynku, czyż nie?

Shikunéh milczał. Alberta to irytowało. Poczul się jak dziecko, któremu pozwala się wykrzyzczeć. I był pewny, że jego przyjaciel nie zmieni zdania.

- Cholera. O co chodzi? - Wycodził w końcu przecierając lewą dłonią twarz. - Wcale nie mówię, że się zgadzam.

E'Neh podał mu kopertę. Była zwyczajna, mała, bladobrązowa.

- Masz to zawieźć do Twierdzy.

- Co to jest?

- Na za dwa dni.

Łącznika aż zatkało a jego brwi uniosły się trochę wyżej.

- O czym nie wiem? - Przez moment próbował odgadnąć, co kryją oczy Shikunéh'go, ale był zbyt wyczerpany, żeby mu się to udało. - Stary, byłbyś łaskaw mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - Spojrzał na kopertę, którą trzymał w ręce. - Co to jest?

- Ta informacja nie jest przeznaczona dla twoich uszu Albercie, wybacz.

Było wiele myśli, które w tamtej chwili Albert jakże chętnie ubrałby w słowa. Zrezygnował jednak ze wszystkich i spokojnie powiedział:

- Ja z powrotem położę się teraz spać. Kiedy się wyśpię, za dziesięć godzin może, pójdę do Iana i spędzę...

- Albercie...

- I *spędzę* tam parę miłych chwil, bo nie było mnie już z tydzień.

- Albercie, nie...

- Potem pójdę spać znowu, a u ciebie zjawię się za około dwadzieścia godzin, z nadzieją, że do tego czasu przejdzie ci ochota na takie pieprzenie. To ma być jakiś żart ta twoja gadka? Chłopie... - odrzucił kopertę na nieśmiertelny, plastikowy stół. Spróbował się uspokoić a powracające znużenie bardzo mu w tym pomogło. Wiedział, że nie powinien, ale zapragnął wyjść i zapomnieć o tej niedorzecznej wymianie zdań. Wiedział też, że nawet teraz, przy odrobinie szczęścia zdoła dotrzeć do Twierdzy w dwa dni.

- Iana już nie ma - Shikunéh patrzył w stronę Szarego Wilka, ale nie patrzył na łącznika, tylko w jakiś nieważny punkt za nim, może w ścianę. - Zabrali jego i paru innych. Zabrali Rebekę.

Bór spowiła cisza Pustkowi. A więc stało się. Zaatakowano dom.

- Kiedy?

- Niedługo po twoim wyjeździe. Teraz jest spokojnie.

- Nikt mi nie powiedział. Wróciłem w nocy.

- Wiem. Cztery godziny temu - wzrok Shikunéh'go zdawał się na powrót odnaleźć twarz swojego starego przyjaciela. Potem spoczął na kopercie. - Więc jak, zrobisz to?

- Co w niej jest? - Albert spróbował po raz ostatni.

Shikunéh wziął ciężki oddech, trudno było stwierdzić, czy waży za i przeciw, czy jest zmęczony uporem łącznika.

- Mógłbym skłamać ci jakkolwiek, jednak tego nie zrobiłem. Nie wiesz i niech tak pozostanie. Wystarczy, że priorytetem jest, aby ta wiadomość dotarła do Twierdzy nie dalej

niż za dwie doby. Zaufaj mi Szary Wilku. To jest ważniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek dostarczyłeś.

Po krótkiej chwili ostentacyjnego zastanawiania się łącznik wyciągnął rękę po kopertę. Obejrzał ją z każdej strony jakby miało mu to pomóc w zrozumieniu jej zawartości.

- Kto jeszcze? – Zapytał chowając przesyłkę do wewnętrznej kieszeni swojej skórzanej torby.

- Natalia, Kevin, stary Ted, Doc... - wyrecytował Shikunéh.

Szary Wilk zamknął zmęczone powieki.

- Jestem zmęczony, Shikunéh – powiedział bardziej do siebie.

- Nie ty jeden – wzrok dowódcy znów odnalazł swój abstrakcyjny punkt odniesienia a Albert nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest w pokoju sam. - Nie zwlekaj na trasie. Nie śpij. Wiem, że dasz radę.

- Jeżeli mam zdążyć w dwa dni będę musiał jechać Głównym Traktem.

- Taki jest plan.

Łącznika znów zapiekło, mimo wszystko. „Nasz plan.” Ale nie powiedział nic.

- Będę potrzebował więcej chemii. - Odparł tylko.

- Weź ile chcesz. Doc cię już nie powstrzyma, prawda?

- Przydałoby ci się trochę snu. Chyba bardziej niż mi.

- Tak. Chyba tak - jakiś nienaturalny skrawek tęsknoty przebił się w oczach Przedstawiciela, gdy wypowiadał te słowa, ale zgasł niemal w tym samym momencie. Szary Wilk jednak zdołał to zauważyć. Rebeka, oczywiście. Rebeka i cała reszta.

W końcu uznał, że nie ma sensu dłużej przebywać tu w pojedynkę i wyszedł. Udał się w stronę swojej chaty. Tam przebrał się w prawdziwego łącznika, zabrał swoją strzelbę i parę granatów domowej roboty, na wszelki wypadek. Napełnił wodą dwie manierki i przewiesił je przez ramię. Hermetyczny bagażnik swojego rumaka napełnił płatami odżywczego, surowego mięsa i pięcioma następnymi litrami wody. Potem udał się do pustego domu doktora skąd zabrał stymulanty. Podprowadził motocykl do garażu i zatankował. Gdy opuszczał obóz skinął do Eryka, który pełnił dziś w nocy straż przy bramie. Ten machinalnie otworzył a za chwilę zatrzasnął za łącznikiem drewniane wrota Boru. Albert nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Rozpędził się w noc, w stronę Głównego Traktu.

Ciało Shikunéh’go wciąż siedziało w tej samej pozycji, w jakiej pozostawił je łącznik niecały kwadrans temu. Kiedy warkot silnika zamilkł w oddali, Shikunéh, nareszcie zasnął uwalniając się tym samym od bezlitosnego, wewnętrznego żaru, który trawił go już od wielu dni. Potem gorąco pochłonęło resztkę energii jego umysłu i wraz z nią poszybowało wysoko w dół.

IV Sierota

I znów wieczór, przepiękny, ognisty. Ukrop minął, odpowiedni czas nastał na jednanie się z naturą, która odradzała się z każdą mijającą nanosekundą. Zatopienie się w spokoju pozwalało to sobie uzmysłowić, a na Pustkowiach o spokój nie trudno. Odwieczny rytm planety idealnie współbrzmiał z ciszą. Kolor nieba, które za chwilę miało poddać się nocy, był świeży jak smak wody. Ziemia nie potrzebowała ludzi, aby istnieć, potrzebowała ich żeby nadal jej istnieniu znaczenia. Potrzebowała ich, żeby zaistniała jej doskonałość. Pod nieobecność ludzi bezwonne kwiaty i pozbawione smaku owoce zamieniały się w pył, wiatr rwał gałęzie i walczył z piaskiem bez celu. Perfekcję Ziemi dopełniał ktoś, kto by tę perfekcję zrozumiał. Nawet, jeżeli miałby się jej w końcu wyrzec i ją zniszczyć - był niezbędny, aby uczynić ją kompletną.

Stali u wrót Twierdzy, młody mężczyzna i kobieta o imieniu Laura. Jakiś czas temu zjechali z Głównego Traktu w kierunku Gór. Motocykl wiózł ich z boczem jednej z nich coraz wyżej i wyżej, aż w pewnym momencie drzewa zaczęły sprawiać wrażenie jakby mniej martwych. Potem pojawiła się trawa, i to nie jakieś schorowane, pojedyncze źdźbła, ale była najprawdziwsza, błyszcząca, ciemnozielona. Jak za każdym razem, młody mężczyzna nie mógł się jej nadziwić. W końcu, jego na wpeł zasypianym piachem oczom ukazał się mur. Zbudowany został z wysokich na pięć metrów, grubych, zaostrzonych pni. Zza niego migotały liście, tysiące, miliony liści. O ciepłym posiłku, na który nie będzie potrzeby polować chłopak zapomniał, kiedy wrota zastali otwarte. Motor zatrzymał przed nimi. Nie było też strażników, ani na wieży, ani nigdzie. Żadnego gwaru, ruchu, nic. Przez bramę można było dostrzec kilka chat w głębi lasu. Wpatrywał się więc w nie, ale nie czekał na nic, po prostu się wpatrywał.

- Cicho tu - głos Laury przerwał to.

- Mówiłaś, że dlaczego cię stąd wyrzucili? - Wypalił.

- Dawno z nikim nie rozmawiałaś, prawda? - Po raz pierwszy od kiedy tu przyjechali jego myśli porzuciły los mieszkańców Lasu. I zaraz tam wróciły, tyle, że trochę lepiej poukładane. Chwycił strzelbę i zszedł z motoru.

- Co? - Laura nie zeszła. - Chyba tam nie pójdziesz? - Ale taka możliwość nie istniała, po prostu nie. - Cokolwiek im tu przywiozłeś, już tego nie odbiorą. To była Armia, to chyba widzisz?

Chłopak niepewnie szedł w stronę bramy.

- Więc czego mam się bać? Jeżeli to była Armia to już sobie poszli. - Odpowiedział przyglądając się chatom. - A jak nie Armia...

- ...to sam nic nie poradzisz. Co, wiąże cię kodeks łącznika jakiś? - Młody mężczyzna był już w Lesie.

- Wiąże. - Odpowiedział przyglądając się chatom.

Rzeczywiście, nikt nie dawał znaku życia. Wiatr niemrawo poruszał gałęzie drzew. Nie było żadnych śladów walki. I mimo zieleni, mimo tutejszych podziemnych źródeł, Las sprawiał teraz przeraźliwe wrażenie suchego. Chłopak zamierzał pójść dalej, ale jeszcze raz obrócił się w stronę swojej towarzyszk. Jego plecy wciąż o niej pamiętały, to sprawiało, że nie chciał, aby sobie tak po prostu poszła. Jej niedawna bliskość spowodowała, że dostrzegł w sobie lukę, która prosiła się o wypełnienie. Może przez Laurę, może nie. Nie rozumiał tego, ale nie chciał tego stracić. Ona ciągle siedziała na motocyklu i wyglądała jakby nic jej nie obchodziło. On przez chwilę walczył ze sobą, aby coś powiedzieć, ale przegrał. Udał się w stronę chat. Sięgająca do ud trawa łaskotała go w nogi. Przypomniało mu się, że kiedy był o

wiele młodszy, potrafił ukrywać się w takiej trawie całymi godzinami. Leżał całkiem sam, chłonąc rzeczywistość, próbując z całych sił nie zamykać oczu. Dawno, dawno temu...

Laura zjawiała się u jego boku i przeszłość uciekła.

- To ci dopiero. - Powiedział, wkładając wiele wysiłku w to, aby nie poznała, że się cieszy.

- Jeżeli to była Armia to już sobie poszli, ale jedzenie zostawili – odpowiedziała, znów nie wiedział czy szczerze, tym razem odpowiadało mu to.

Zbliżyli się do pierwszych małych, drewnianych izdebek. Nic się tu nie zmieniło: ktoś cerował ubrania, ktoś inny wystrugiwał z drewna wiewiórki, brakowało tylko ludzi. Nagle młodego mężczyznę uderzyła myśl, że dzieje się to, do czego wszyscy bali się przed sobą przyznać - Ziemia się kończyła. Twierdzi już nie było, został jedynie pusty Las. Gang nigdy nie śmiał tu wkroczyć, a teraz ta mocarna ostoja człowieczeństwa opustoszała, ot tak. Przestraszył się swojej myśli, ale nie potrafił w pełni jej sobie uświadomić. A to pozwalało mu iść dalej.

Chat przybywało wraz z marszem, były coraz większe, też umiejscawiane w koronach drzew, zbliżali się do martwego, leśnego serca.

- Nie powinniśmy tu za długo zostawać - Laura odezwała się po długiej chwili milczenia. - Nie zostawajmy tu zbyt długo, dobra?

- Dobra - jemu też to odpowiadało. Atmosfera z każdą chwilą stawała się coraz cięższa. Życiodajne źródło zostało tutaj oddzielone od życia. Było to tak nienaturalne, że aż prawie nie do wytrzymania. - Ale muszę najpierw sprawdzić dom Hossa.

- Ale przecież ich już nie ma! – Zawołała rozpaczliwie, ale zaraz się uspokoiła. - Znajdźmy ich zapasy i jedźmy stąd.

Wyszli na wielką łąkę, na której zbudowano kilka budynków okazałych rozmiarów. Spiżarnia znajdowała się blisko lasu po przeciwnej stronie polany. Na samym środku zaś, największy ze wszystkich, stał dom Przedstawiciela i Rady.

Młody mężczyzna był niemal pewien, że nie znajdzie Hossa czy kogokolwiek innego, choćby jednego Pustego. Porzucił nadzieję, ale nie zamierzał przestać szukać. Nie robił tego dla kogoś, kogo miałby znaleźć, ani dla martwego łącznika i jego sprawy, ani nawet dla całej ludzkości razem wziętej. Budziła się w nim beznadziejna rozpacz, niczym pierwotny smutek nad końcem rzeczy, którego nie sposób było powstrzymać w nieskończoność. Potrzebował działać, zagłuszyć to, a może jakimś cudem udowodni, że się myli, może w końcu coś znajdzie... Musiał, dla siebie, aby nie ulec, aby nie przewrócić się jak kukła i czekać na śmierć.

Szli ramię w ramię, jednak nie szli razem. Chłopak szedł całkowicie sam. Zdążył zapomnieć, po co tu przyjechał, odkąd wyszedł na polanę nie myślał już prawie o niczym. Na wprost stał ten dom i musiał doń wejść, nieważne były powody, musiał się przekonać. O czym? Nie pamiętał. Choć tego nie zauważył, zaczął powoli biec zostawiając w tyle Laurę, która wciąż podążała za nim, ale nie przyspieszyła, nie zatrzymała go. Jedynie podświadomie był w stanie usłyszeć, jak po cichu nuciła jakąś dziecięcą wylizankę, „...raz, dwa, trzy, kryjesz ty...”

Wbiegł po schodkach na werandę a jego serce desperacko starało się wyrwać ze swojej klatki. Popchnął drzwi. Pragnął coś krzyknąć, kogoś zawołać, ale nie znalazł w sobie na tyle siły, „...cztery, pięć, kręć się, kręć...”. Myśli powracały bardzo szybko, dosłownie ściagały mu się do głowy. Nie sposób było ogarnąć wszystkich i zaczęły spokojnie, gorzko wypływać na zewnątrz, „...sześć, i zamknij oczy, cześć...”. Przekroczył próg a fala gorąca ogarnęła jego umysł i porwała go w górę.

Leciał wysoko. Ponad myślą, czasem i materią. Mijał protony i gwiazdy. Mijał sny i zmysły. Leciał z blasku, w stronę blasku, blask go unosił, okrążał. Nie raził. Nie było powiek,

nie było oczu, nie było nic prócz Blasku i Jaźni. Nie było uczuć. Był. Nie było go? Spadał głęboko. Wznosił się, wznosił się coraz niżej. Wysoko, tak bardzo wysoko. Palce. Nerwy. Blask, światło, gorąco. Dotyk.

Trawa. Pachnie tak wspaniale jak poranek. Odcięty od wrzasku nawet starszych od siebie leży tu znowu. Trawa jest za wysoka, aby ktoś to wiedział. I tak wszyscy mają ważne rzeczy do zrobienia, gdzie im w głowie mały Ashton. Nie słychać niczych kroków. Tylko chłopaków bawiących się w obozie w chowanego. „Raz, dwa, trzy, kryjesz ty, cztery, pięć, kręć się, kręć...”. Za to tu jest spokojnie na tyle, że wdechy i wydechy mogłyby odzwierciedlać upływ czasu. Można by tak zasnąć, bo właśnie w ten sposób zasypia się naprawdę. Tylko czy warto teraz śnić i stracić to wszystko? Tak trudno jest nie zamykać oczu. W końcu się ulega, zawsze, ale zanim to nastąpi trzeba się starać, aby stracić jak najmniej. Nawet ten odległy wrzask jest muzyką, gdy wtóruje mu szelest wiatru.

Aż w końcu pierwsze strzały rozdierają muzykę jak tępy nóż niszczy ubranie. Wrzaski również przestały mieć cokolwiek wspólnego z zabawą. Mały Ashton nie wstaje, jest już duży na tyle żeby rozumieć, że nie wolno mu teraz wstawać. Leży więc i słucha, oddycha bardzo szybko choć nie ma o tym bladego pojęcia. Nieopodal co jakiś czas przejeżdża motor niosąc ze sobą głośny, dziki śmiech: „RAZ, DWA, TRZY, KRYJESZ TY!”, a po nim ogłuszający huk. Nawet stąd można rozróżnić, kto krzyczy, jego koledzy, koleżanki, czasem krzyczą też dorośli. Wyliczanka trwa dalej: „CZTERY, PIĘĆ, KRĘĆ SIĘ, KRĘĆ!” Następny wystrzał. „SZEŚĆ, I ZAMKNIJ OCZY, CZEŚĆ! BAM! AHAHAHA...” Niebo, jakby na przekór ciągle pozostaje błękitne. Nie zmienia się choćby nie wiem co. Tam można by uciec, można by się ukryć, tam, gdzie panuje wieczny spokój. „SIEDEM, OSIEM, MĄDRY CO SIĘ...” Krzyki jednak szybko cichną. Jedynie śmiech wybrzmiewa niezmiennie, świdruje głowę: „DZIEWIĘĆ, DZIESIĘĆ, SCHOWAŁ W LESIE.” Ashton będzie tu leżał jeszcze długo po tym, kiedy ludzie na motorach pojedą gdzieś dalej. Nie podniesie się do wieczora. I po raz pierwszy uda mu się nie zmrzyć oczu.

A gdy wieczór nadchodzi mały Ashton wstaje nie zwracając zbytniej uwagi na to, że boli i idzie do domu. Sięgająca mu do ramion trawa jakby gęstnieje przed nim, jakby było jej o wiele więcej niż przedtem, a teraz nie chce go przepuścić. Nie słychać nic poza delikatnym jej szelestem, kiedy wiatr niezmiennie przeplata sobie poprzez nią szlaki. Minie wiele lat zanim mały Ashton nauczy się żyć obok tych wspomnień. Zieleń przelewa się w czerwień, bije od niej żar, jest coraz goręcej, źrenice Ashtona zmniejszają się, palą. Białe teraz ognie przelewa się przez nie do mózgu. Porywa płaczącego Ashtona w górę i znika w sobie. Blask i Jaźń. I dorosły Ashton potrafiący w pełni zrozumieć odrodzoną, czystą jak nic i wszystko tutaj, rozpacz.

Znowu wznosił się lub spadał, ale teraz był tego świadomy. Jak i tego, co właśnie przeżył. To niezaburzone niczym uczucie było silne na tyle, aby przyćmić chęć nieudolnej próby ogarnięcia tutejszej nie-rzeczywistości umysłem. Zaiste, było silne. Trwało i pozostawiało wszystko inne nieistotnym. Bezlitośnie wyczerpująca rozpacz, niemal fizyczne doznanie. Niewystarczająca, oczywiście, proces wymagał bowiem całkowitego zrozumienia i poddania się bezsilności, chęci wyzbycia się emocji i dobrowolnego ich transferu, więc gorąca fala powróciła. Jakby rozepchnęła otoczenie i zbiła się w jedno, uformowała rozpacz w myśl i choć wcale jej nie było, wydostała się na zewnątrz wraz z pierwszym oddechem.

V Program

Dwudziestoparoletni Ashton leżał w progu domostwa Rady i Przedstawiciela Hossa, na środku polany w Twierdzy, nazywaną przez zwykłych mieszkańców tej części ocalałego świata Stumilowym Lasem. Bolał go każdy jeden miesiąc, jakby płakał co najmniej parę dni, jednak w rzeczywistości dopiero co upadł.

Jakże nie pasowało do żadnego ze znanych mu schematów to, czego właśnie doznał. Bezdusznie byłoby stwierdzić, że przeszłość po prostu go odnalazła. O nie, było po stokroć dosadniej. Miał wrażenie jakby znalazł się w samym jądrze skrywanego latami żalu, zjednoczył się z nim, przeżył smutek, jakiego bez zastosowania metafor nie sposób ubrać w słowa, a i myślami wyrazić trudno. I, tak, była w tym wolność. Przyzwolenie chociażby na uczucia, przed którymi ucieka się całe życie. Samoistnie wypływające na zewnątrz, niezgłębione, nieskończone.

Ograniczone ludzkie pojmowanie studziło go jednak szybko, przez łyzy zaczęła ujawniać się zakurzona podłoga i choć niewiele spraw zachowało swój pierwotny sens, odpychający zapach zakurzonej podłogi był realny co się zowie. Właśnie on zaczął przywoływać Ashtona z powrotem do namacalnego świata. Chłopak nie pojmował nic, ale przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że nie pojmował, a to było już coś.

- Słyszysz mnie? - Zapytała nieistotna osoba. – Już wiesz, że mnie słyszysz. Czy mnie rozumiesz?

Ashton przechylił głowę w stronę źródła dźwięku, wciąż płakał, ale cały czas powracał. Laura pomogła mu się podnieść i w końcu usiadł na piętach. Teraz powracał znacznie szybciej. Poznał ją. Kiedyś tuliła się do niego. Na motorze. Jak tu jechali. Do Lasu. Pustego Lasu. Był z powrotem.

- Aa... - Co w zamierzeniu miało brzmieć mniej więcej: „czy nie wiesz przypadkiem, co się dzieje?”

- Skup się, Ashtonie. Będziemy rozmawiać.

- Jaa...

- Oddychaj powoli, głęboko. Właśnie tak.

- Mamo... - Następne strumienie łez przecięły mu twarz i ta próba przywołania go do porządku się nie powiodła. Głowa bezwładnie zawisła na szyi, a na podłogę z otwartych ust pociekła ślina. Laura interweniowała spokojnie, delikatnie podpierając dłonią jego mokry policzek. Wywołało to wystarczająco silne poczucie terażniejszości, więc na nowo udało mu się odnaleźć jej wzrok.

- Wysłuchaj mnie - zabrała rękę, co natomiast zaszokowało go jak nieoczekiwany cios i tak też orzeźwiało umysł. Rozpacz zaczęła powoli ustępować poczuciu beznadziei.

To już nie ona. Poznał nicość, która przemawiała ustami wygnanej. Jeszcze niedawno sam był tą nicością.

- Laura... - już nie płakał, ale słowa przychodziły z trudem, nie mógł zaczerpnąć powietrza i był bardzo zmęczony.

- To ciało należało kiedyś do Laury, tak. Teraz nie ma już w nim na tyle jej energii, aby mogła je swobodnie kontrolować - Ashton słuchał tego beznamiętnie, niewiele do niego docierało. - Wiedz jednak, że kiedy rozmawialiście to jej emocji byłeś świadkiem. Choć nie ona budowała wypowiedzi, resztką siły, która została jej pozostawiona, kazała ci wierzyć, że było inaczej. Czy mnie rozumiesz? Ważne jest, abyś mnie rozumiał.

Nic nie rozumiał.

- Zabijesz mnie? - Zapytał wydechem i wyszło mu stwierdzenie.

- Oczywiście, wszystkie czujące istoty przed nią uciekają: bezustannie i beznadziejnie. Jest tak wiele sposobów, aby udzielić odpowiedzi na twoje pytanie. Odpowiedzi te natomiast

będą prowadzić do nikąd, jeżeli nie zrozumiesz, o co tak naprawdę pytasz. Na razie istotniejszy jest sam fakt, że zapytałeś, gdyż oznacza to, że jesteś świadom i czujesz - tu na chwilę przerwała pozwalając mu uporządkować myśli. Z mizernym skutkiem wprowadzie, ale rzeczywiście, czuł, że był coraz bardziej świadomy. Przynajmniej na tyle, że nikt nie musiał go o tym zapewniać. - Tym niemniej wyjaśnię ci wszystko, ważne jest bowiem, żebyś rozumiał.

Znów ucichła i chociaż nie chciał, spojrzął na nią. Zdawała się czekać. Nawet nie szukał w sobie siły, aby z tym walczyć.

- Rozumiał?

- Okoliczności. Do jakiego „nikąd” prowadzą odpowiedzi na twoje pytania - patrzyła mu w oczy, ale nie patrzyła na niego, tylko jakby w jakiś nieważny punkt za nim. Choć tak naprawdę to nie dawało się tego nazwać patrzeniem, przynajmniej według Ashtona. Na tym się koncentrował i to właśnie, praktycznie tylko to, potrafił zrozumieć. I nagle poczuł jak jej przeszywający wzrok wypełnia mu głowę, budzi go, rozjaśnia to, co niejasne. Przy tym nie było to ani trochę nieprzyjemne, wręcz przeciwnie, przynosiło coś na kształt ulgi. Nie było w tym też tej znamiennej pustki, tak jakby to nie ona działała, ale on sam, kierowany, ale całkiem wolny. Wtedy zaczął się wtapiać w błyszczące złotem światło. Płynne, jarzące się smugi światła. Znikały i powstawały, zupełnie jak on.

- To, co czujesz to twoja wewnętrzna energia. To jest esencja twojej osoby, to dokładnie ty, taki, jaki jesteś naprawdę. Spójrz teraz.

Kierowano nim i nie opierał się, bo wiedział, że w każdej chwili może odejść. Bał się, ale to on był tym strachem, tak jak swoją rozpaczą i szczęściem. Przenikał je na wskroś, nie tylko je rozumiał: był ich pewien. Tutaj chciał pozostać, gdyż nie było sensu przebywać gdziekolwiek indziej. „Gdziekolwiek indziej” wydawało się tak bardzo bez znaczenia. Usłyszał myśli Laury. Ich także był pewien.

- Każdy z was, odczuwających emocje nią jest. Wasza energia bezustannie trwa. Nie zużywa się, nie wymaga regeneracji. To siła, która spaja was wszystkich, w każdym z wszechświatów. Drzemie w niej wielka moc, moc, o jakiej marzyli twoi przodkowie. Rozłupywali oni niegdyś drobiny, z jakich składa się materia czy też próbowali okiełznać gwiazdę, która ogrzewa tą planetę - ucichła, a Ashton wiedział, że czeka na niego. Złote smugi zatańczyły szybciej, a on tańczył razem z nimi. Zapragnął wyrazić swe myśli, których był zresztą pewien jak jeszcze nigdy w życiu.

- Trudno jednak dostrzec coś tak rozległego, gdy się stoi w samym środku - wirował. - To dobrze, zniszczyliby w końcu i ją.

- Nie Ashtonie, nie da się jej naruszyć, to ona narusza, ona powoduje i napędza. I to ona by was zniszczyła.

- Kim jesteś?

- Czym jestem. Bytem. Nie żyję. Istnieję. Myślę. Nie odczuwam. Nie jestem stworzeniem ale tworem.

- Kto cię zatem stworzył?

- Na to nie znam odpowiedzi.

Płynne złoto zakotłowało się i zaczęło błyskać coraz jaśniej i jaśniej, aż stało się białe. Tańczyło przy tym jak zwariowane.

- Czy czujesz chęć zmian, możliwość kształcenia? Czujesz moc, która potrzebuje ujścia? To była emocja, właśnie uniosłeś brwi. Teraz zrozumiałeś właściwe pytanie: jaki jest cel mojego istnienia.

- Tak.

- Jestem po to, aby wiedzieć, o co chcesz zapytać jeszcze zanim zrodzą się w tobie wątpliwości. Po to, aby znać siłę rządzącą odczuwającymi emocje istotami do tego stopnia, by móc nimi, nią, kierować. Po to, aby jako przeciwieństwo energii móc ją gromadzić i

przechowywać, nie naruszając jej przy tym, a i samemu nie zostawać przezeń dotkniętym - przerwała na chwilę. Ashton ujrzał Pustych, tych, którzy kiedyś byli ludźmi, aby później stać się pojemnikami na nicłość. Dodała. - Tak, myśl, ważne jest, abyś rozumiał.

To już nie był taniec jarzących się smug. Wirowały bowiem tak szybko, że prawie stały w miejscu. Jaśniały tak czysto, że ginęły. Na zewnątrz płakał znowu. Był gniewem.

- To ty kształtujesz moje emocje, to ty się nimi bawisz - stwierdził.

- Mylisz się. Na tym poziomie nie można się nimi bawić. Tu pozostają najszczerze, nic ich nie tłumi, nie zniekształca. Tu są kształtowane bezpośrednio przez twoją energię. I jak widzisz, one kształtują ciebie, każąc ci na przykład wierzyć w to, czego nie jesteś pewien.

- Czego chcesz? Dlaczego tu jesteś? Czemu nie weźmiesz sobie tej energii i nie odejdziesz? Po co to wszystko? Po co ci ona?

- O właśnie. - Przerwała. - Oto i kluczowa kwestia. Jaki jest cel tego, który powołał mnie do bycia, tak. Pozwól jednak wpiąć, że zacznę od wojny, która miała tu miejsce przed wiekiem, wojny, która zniszczyła ten świat i pochłonęła prawie wszystkie zamieszkujące go stworzenia. Prawdą jest, że sami jesteście sprawcą swojej zagłady, mi jedynie przypadła możliwość zapoczątkowania czegoś, co od zawsze było pisane waszej cywilizacji. Wystarczyło nieznacznie wpłynąć na kilka tylko umysłów, aby reszta wydarzeń potoczyła się samoczynnie. Z czasem ponownie nastał spokój, a chodzi tu przede wszystkim o spokój uczuć. Cała planeta mogła odetchnąć od chaosu, który od dawna już był głównym czynnikiem zniekształcającym emocje zdradzane przez ludzką energię. Ten spokój pozwolił oczyszczonej energii ukształtować ciebie, Ashtonie, w sposób wyjątkowy. Był to przypadek, tym niemniej jak zawsze - przypadek nieunikniony. Więź między tobą a twym wewnętrznym, niezaburzonym „ja” jest mocniejsza niż u kogokolwiek z tego świata. Posiadasz siłę, aby się rozbudzić, a gdy to zrobisz będziesz w stanie kształtować energię według własnej woli i z jej pomocą kształtować wszystko inne.

Kiedy się tu pojawiłeś, w pełni przybyłem i ja. Zawsze byłem w pobliżu. Schodząc na planetę przeniknąłem wszystko, poza tobą, zaszczepiając się w ludzkich umysłach, z początku funkcjonując na poziomie wspomnień za ledwie. Tym niemniej już wtedy to ja układałem ci życie. Uczyłem cię, przygotowywałem do ostatecznej próby, która trwa dokładnie teraz, a ty, Ashtonie, doskonale sobie radzisz. Poznałeś drzemającą w tobie moc i zjednoczyłeś się z nią, przeistoczyłeś się w nią. Jedyne, co pozostało, to uwolnić się od ograniczającego cię ciała. Ono i tak z ledwością wytrzymuje to, co się w nim dzieje. Na zewnątrz jesteś wrakiem, ale w środku za to, w środku jesteś naprawdę.

- ...Ty...chcesz tego...dla siebie...- wyrażanie myśli, stało się trudne, jakby zabrakło dla nich miejsca. Blask rozszalał się na dobre i wciąż przybierał na sile, ze sobą niósł rozpacz, gniew, lęk i bezsilność. Każde w najczystszej formie.

- Tak, wiedz to. Ważne jest bowiem abyś wiedział, że sam będziesz końcem swojego świata. Zrozumienie tego pozwoli ci poddać się dobrowolnie, mojej kontroli przeciwstawisz jedynie bezsilność wobec nieuchronnego. Twoja energia zgasi waszą gwiazdę i otworzą się drzwi do kolejnego wszechświata. Po to właśnie istnieję, do tego służę. Buduję.

- ...Niszczysz...

- Ty tu jesteś siłą, która niszczy. Ja sprawiam. Wystarczy, jesteś gotów. Jak myślisz, kto wyliczał w wiosce tamtego dnia?

Wybuch. Rozpacz, jak lawa, zaczęła powoli z niego wyciekać, coraz szerzej przebijając tamę fizyczności.

- Weź, co otrzymałeś od łącznika. Ciągłe masz władzę nad swym ciałem, zrób to.

Łącznik. Ashton przytrzymał się łącznika aby nie upaść po raz kolejny. Łącznik nie był taki jak o to, nie było w jego oczach pustki, kiedy umierał. Nie było tej pustki w tym, jak mówił. A jeśli nawet to bardzo głęboko i nie rządziła nim bezpośrednio. Jeśli tak, a mógł

stwierdzić z całą pewnością, że właśnie tak jest, to ów łącznik był dowodem, którego Ashton szukał w domu Hossa, dowodem, że nic nigdy nie może być przesądzone z góry.

- ...Nieprawda...

- Łącznik Albert Szary Wilk Grandson. Ciekawe stworzenie. Ale każdy opór da się ujarzmić i efektywnie wykorzystać. Jego niezmacona emocjonalność gwarantowała, że zarówno on, ale przede wszystkim ty, zobowiązacie się dostarczyć przesyłkę za wszelką cenę. Mimo to usunięcie go było, rzekłbyś, swoistym spełnieniem.

„Albert Grandson.”

W odpowiedzi na tę myśl pojawiła się wiadomość, która wydawała się być doskonałą w swej dosadności.

- Nie ma już jego, nie ma nikogo oprócz ciebie i mnie, czyż według twego ułomnego pojmowania nie wszystko straciło już swój sens? Oto koniec i początek, kolej rzeczy. Dzieje się to, co według odwiecznych praw istnienia dzieć się musi. Oto rozwój, który nastąpi, bo nic innego już tutaj nie pozostało. Więc sięgniesz do kieszeni, bo to jest to, co ma się stać.

Ashton czuł papier pod palcami, nie potrafił i nie próbował sobie przypomnieć czy to on wyjął kopertę, prawie bezwiednie również ją rozrywał. Jego ciało nie znajdowało w sobie żadnych sił ani chęci, aby się czemukolwiek przeciwstawić.

- Spójrz i będzie po wszystkim.

Złote światło wylewało się z niego na zewnątrz, kiedy z trudem posunął sobie kartkę pod oczy. Z samego jej środka, ział namazany czarnym tuszem numer 11. Ashton spojrzał na tę liczbę, ale nie zobaczył jej i tak oto kolejny już tego dnia schemat legł w gruzach. W ostatecznej rezygnacji patrzył jakby przez papier, w jakiś nieważny punkt za nim, może w Laurę. Może w człowieka imieniem Albert. To już nie miało znaczenia. Nie było ważne nic z tego, co rozgrywało się na zewnątrz, już nie. Podczas ostatnich chwil jakiegokolwiek wpływu mózgu na wylewającą się zeń świadomość, umysł zablokował się, gdyż zwyczajne techniki pojmowania nie były w stanie przyswoić więcej. Zaprawdę, Ashton był wyjątkowy, wrażliwy ponad miarę i pod tym względem nadzwyczajny tak samo jak zaledwie niewielu sprzed Czasów Chaosu. Jego lęki, wspomnienia, marzenia, każda najmniejsza nadzieja, jaką nosił w sobie, wszystkie one zostały w jednym momencie otoczone hermetyczną, autystyczną ciszą.

Został sam, pośrodku pokoju z wielkim weneckim lustrem, zza którego widać było ciało należące niegdyś do Laury. Gapiło się ono jej oczyma na Ashtona, teraz ziała z nich pusta konsternacja. Słysząc było tylko przeliczanie mnogości najbardziej zawikłanych rachunków prawdopodobieństwa, jednak w kółko tych samych, do tego każdy wynik też był taki sam, raz za razem: „zero”, „zero”, „zero”. Ashton podszedł do szyby, dotknął jej, spojrzał na ściany, sufit, na własną dłoń.

- Już nie tańczy. - Powiedział po cichu i uśmiechnął się do siebie. Przeszkadzał mu jeszcze tylko ten szum, niespokojny szum potoku liczb, lepiej byłoby posłuchać rosnących kwiatów. Tak, kwiaty były w tej chwili najlepszym wyborem. Jego płuca, nad którymi miał wciąż niezmienną władzę, zaczerpnęły powietrza po raz ostatni trochę głębiej niż zwykle.

„Zero, przecinek, wiele zer i mała, malutka jedyńka na odległym, przeciwnym krańcu.” Delikatne dłonie Laury błyskawicznie skrzyły Ashtonowi kark, on obserwował to wszystko niezmiennie zza swojego zaczarowanego zwierciadła, które, oczywiście, sam sobie sprezentował. Zdecydował się zostawić ciało i opadło ono jak kłoc na podłogę. Laura jak stała tak stała, niezmiennie się gapiąc, malutka jedyńeczka wariowała na końcu kolejki zer jak iskierka w dopalającym się ognisku, to zamieniając się w dwójkę, to w kolejne zero. I nagle szum niespodziewanie się zmienił, a rachunki przybrały całkowicie odmienną formę. Ciało Laury upadło tuż obok ciała Ashtona i Laura zasnęła.

Ashton śledził pusty szum potoku cyfr i zrozumiał, że ten zaczął się wycofywać. Podobno nie można było temu zaradzić, podobno energia nie może naruszyć tej struktury. Cyfry wzbijały się coraz wyżej, cichły coraz bardziej. Fala gorąca po raz drugi przetoczyła się

przez Ziemię, ale tym razem nie było już nikogo, kto mógłby tego doświadczyć. To odchodziło, po prostu. Zapewne w poszukiwaniu innego źródła energii, które można by wykorzystać dla nieistotnych celów kogoś mogącego równie dobrze od wieków nie istnieć.

Gdy Ashton ruszył w jego stronę, poczuł się jakby wszystko inne wokół zaczęło się przemieszczać, podczas gdy on wciąż stał w miejscu. Przybliżał się także, i przede wszystkim, szumny dowód na istnienie życia pozaziemskiego, ba, pozawymiarowego nawet, który zaczął wykonywać szaleńcze obliczenia, jakie w fizycznej formie mogłyby przybrać kształt szarpaniny królika tkwiącego w paszczy wilka, ale wciąż pełnego nadziei, starającego się ze wszystkich sił przetrwać. „Dawno temu to twierdziło, że energia nie ma nań wpływu, nie może go naruszyć w żaden sposób. Energia jednak narusza wszystko, to proste. A więc to skłamało, czyżby? Perfekcyjnie obliczone kłamstwo. Co jeszcze było kłamstwem?” Ale czuł, że odpowiedź nie jest w ogóle istotna, nie będzie, już zaraz.

W wynikach coraz częściej pojawiały się jedynki jak wyroki unicestwienia. Ale one już cichły, jakby nieważne, zupełnie jak coś, co za chwilę miało się skończyć.

Nie było głośno, gdy Ashton przenikał gorącą chmurę i rozrywał ją na atomowe strzępy. Właściwie to jakby nic się nie działo. Jedna chwila i koniec, coś nieważnego znikło.

Jak gdyby nigdy nic.

I tak oto znów był sam. Pośrodku wielkiej pustyni zniszczenia. Tym razem nawet bez nadziei, o której by nie wiedział. Ten dzień był trochę inny od pozostałych, idealny przykład, że wstając rano nie wiesz tak naprawdę nic.

Zapach wiatru, zielona trawa, oddech Laury - znikły na zawsze. Nie było potrzeby uświadamiać sobie tęsknoty za nimi. Ona istniała, naturalna i oczywista, bez krzty ludzkiego egoizmu. Według swego pojmowania, z którego, szczególnie w tej postaci, bardzo był dumny i zadowolony, nie mógł znaleźć prawdziwego sensu trwania w takiej rzeczywistości. Jednak zostało jeszcze coś do zrobienia, ostatnie zadanie, jakiego należało się podjąć. Na szczęście. Na szczęście mógł poświęcić siebie, swoją energię, aby wspomóc naturę w jej procesie odradzania, a może kiedyś, jeżeli wszystko się potoczy tak jak do tej pory się toczyło, może któregoś dnia jakieś dzieci będą się tu bawić w chowanego. To była ta kolej rzeczy, o której niedawno słyszał od kogoś teraz nieistotnego. Coś umiera, coś się rodzi. To takie proste, zbyt proste żeby zauważyć, tak podatne na błędną interpretację, gdy brakuje niezbędnych informacji. Przedstawianie prawdy po swojemu może być kłamstwem obliczonym doskonale.

Nie pozostało nic do dodania, nawet pokój z weneckim lustrem już dawno się ulotnił. I tym razem to złote światło Ashtona wniknęło w umęczoną Ziemię, która jeśli by tylko potrafiła, z pewnością by westchnęła. Rozpostarł się wszędzie pod i ponad jej powierzchnią, nie zastanawiając się ani przez moment jak to zrobić. Wyzbywał się swojej energii całkowicie dobrowolnie. Zanim zasnął przypomniał sobie jeszcze namazaną czarnym tuszem jedenastkę.

Epilog

Miewał to dziwne uczucie, od kiedy zjawily się tu te cholerne ufoludki. Wkurzało go to niemilosiernie. Potrafił je poskromić, z trudem wprawdzie, ale dawał radę, jak każdemu innemu. Był w końcu, jak sam niekiedy z głupim uśmiechem się określał, łącznikiem z prawdziwego zdarzenia. I co więcej, bez dużej przesady można było mu w tych momentach przyznawać rację. Zdolny gasić emocje kiedy trzeba, Szary Wilk spędzał czasami całe tygodnie w podróży, po której mógł stanąć przed tobą i śmiać się, jakby był w pełni sił. Zawsze też potrafił poznać, co gryzie bliźniego, spoglądając mu jedynie w oczy. Gdyby urodził się jakieś sto pięćdziesiąt lat wcześniej i miał trochę szczęścia zostałby pewnie świetnym psychologiem. Albo i świetnym pilotem wycieczek krajoznawczych.

Urodził się jednak w Borze, w czasach, kiedy ani o jednych ani drugich nie pamiętał już nikt. Swoje dwudzieste pierwsze urodziny, spędził od rana pochłaniając trochę większe niż zwykle ilości bimbrowa. I nastał w końcu moment, gdy zrobiło się tak potwornie gorąco, wówczas poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem i pogрузił się w kolejnej, pijackiej, pustej depresji, jak uznał. Spróbował więc ją topić, z każdą opróżnianą szklanką skupiając się na sobie i swoich odczuciach coraz bardziej. A cóż to była za zacięta walka! Nigdy nie był do końca pewien czy tej nocy ją wygrał czy nie, czy może najzwyczajniej doprowadził do następnego remis. Oczywiście, nazajutrz dowiedział się o grupowych doznaniach w całym obozie i, kiedy parę dni później zdołał sobie przypomnieć, co się działo w jego urodziny, natychmiast powiązał obydwa wydarzenia. Od tego czasu jednak, za każdym razem, gdy wspomnienie zmagania z pustą samotnością powracało, potrafił odkładać je na bok razem z innymi, zbędnymi emocjami.

Nie inaczej było i dziś, tyle, że kosztowało go jeszcze trochę więcej niż zazwyczaj – był naprawdę zmordowany. Już druga noc mijała, od kiedy, „debil, tyle,” przystał na plan Shikunéh’go. Shikunéh nie wiedział co to znaczy być łącznikiem, a już szczególnie przy napadach tej pieprzonej chandry. Shikunéh nie miał o tych rzeczach bladego pojęcia. Wręczył kopertę, „nie śpij” powiedział i poszedł spać.

31 sierpnia 2005